

Koniec wakacji zdecydowaliśmy się spędzić z moją rodziną z Wrocławia i z dziećmi w karaibskich klimatach, ale że nie było nas już stać - po intensywnych urlopiach tego roku - na rejs na Antiquę czy Martynikę, wybraliśmy w zamian Tropical Islands pod Berlinem. W planach mieliśmy, oczywiście oprócz relaksu w tym atrakcyjnym aquaparku, także poznanie stolicy Niemiec, która jest przecież tak niedaleko od Polski, ale jakoś do tej pory pozostawała dla nas nieodkryta.

Jechaliśmy do Berlina z pewnym niepokojem, gdyż doświadczenia niektórych z nas były pełne przykrych wspomnień z lat, gdy do Reichu jeździło się na saksy narażając się na niechęć ze strony Berlińczyków, którzy chociażby pod popularnymi wówczas wśród Polaków „Aldikami” byli często świadkami dantejskich scen.

Przed wyjazdem rozmawialiśmy też o tym, jak wielu Niemców przyjeżdża na Śląsk, do Wrocławia, Karpacza i okolic, czy choćby na Mazury dając się poznać raczej z tej gorszej strony, jako aroganci, głośni i niegrzeczni turyści, którzy czują się tu jak u siebie, a Polaków uważają za popychadła do kupienia za parę euro.

Ja natomiast miałem osobiście pozytywne wrażenia z Niemiec po mojej jedynej, dotychczasowej wizycie sprzed paru lat w Bawarii, poznaniu Monachium i zwiedzeniu zamków w Neuschwanstein i Hochenschwangau. A i z niemieckimi turystami spotykałem się wielokrotnie na całym świecie, bo to przecież jeden z tych narodów, który podróże lubi jak mało co innego. A że na wyjazdach wielu z nich często odreagowuje całoroczny stres, to nie są jakimś wyjątkiem pod tym względem, a kto nie wierzy niech się wybierze choćby do Tunezji czy Egiptu do jakiegoś hotelu All Inclusive i zobaczy co tam wyprawiają Polacy po nieograniczonej ilości drinków.

Można o tych sprawach dyskutować godzinami, ale chyba ważne jest, by pozbywać się uprzedzeń i stereotypowego myślenia, w czym najlepiej pomagają osobiste doświadczenia zbierane podczas podróży. Dlatego mimo obaw rodziny zdecydowałem się zorganizować ten wspólny, kilkudniowy wypad do Berlina. Wszyscy mieliśmy co prawda różne doświadczenia z naszymi sąsiadami zza Odry, ale teraz zamierzaliśmy się przekonać jak wygląda stolica Niemiec i jak nas przyjmą jej mieszkańcy.

Droga na Berlin z Wrocławia jest prosta i przyjemna. Wiedzie autostradą A4 przez Legnicę, drogą nr 18 do przejścia granicznego w Olszynie, a dalej znów niemieckim autobanem przez Cottbus (Chociebuż) na Dolnych Łużycach, które też warto bliżej poznać.

Co ciekawe na tych starosłowiańskich terenach nawet dzisiaj widać ślady dawnych tradycji, które pielęgnuje tu 20-tysięczna mniejszość Serbołużyczan. Środki finansowe na ten cel pochodzą między innymi z budżetu rodzimego landu - Brandenburgii, co należy odbierać jak najbardziej pozytywnie i starać się zrozumieć dlaczego podobnych działań oczekuje mniejszość niemiecka w Polsce. Wydawane są tutaj chociażby gazety w języku serbskołużyckim, foldery promocyjne oraz widoczne są tablice informacyjne i drogowe w dwóch językach, jak chociażby atrakcyjnej turystycznie i kulturowo krainy Spreewald / Błota.

Aby dojechać do Tropical Islands, po przejechaniu ok. 90 km od granicy, należy skręcić w prawo z autostrady A13 na zjeździe Staakow i jechać jeszcze 3 km kierując się oznaczeniami. Od strony Berlina zjazd ten jest jakieś 60 kilometrów od centrum. Trafiliśmy tam bez problemu. Mieliśmy zarezerwowany wcześniej nocleg w indiańskim tipi na campingu obok Tropical Islands. Miejsce dla 5 osób w takim namiocie na materacach z pościelą to koszt 60 euro. Za 10 euro można zamówić śniadanie w postaci sownicy zastawionego szwedzkiego stołu. Na campingu można od razu dostać wejściówki do aquaparku, dla dorosłych za 25 euro, a dla dzieci 19,90.

Pierwszego dnia postanowiliśmy poznać Berlin, by następnego, po trudach zwiedzania, zrelaksować się w basenach, saunach i przechadzając po tropikalnym lesie. Po godzinie jazdy zaparkowaliśmy niedaleko Potsdamer Platz, pod budynkami ambasad, choć obawialiśmy się, że nie mając zielonej naklejki o normatywnej emisji spalin, która jest wymagana w centrum Berlina, możemy dostać za to jakiś mandat. Praktycznie wszystkie auta wokół nas posiadały taką nalepkę, ale do tej pory nie wiem jak i gdzie turysta może ją uzyskać. Uściliśmy za to opłatę parkingową na najbliższe 5 godzin, za co wyszło jakieś 10 euro, czyli 2 euro za godzinę postoju.

Wokół Potsdamer Platz rozciąga się zabudowa nowego Berlina. Szczególnie warto tu zobaczyć nowoczesne Sony Centre, które od środka prezentuje się niesamowicie, zwłaszcza fioletowa, szklana kopuła. Idąc Ebertstrasse mijaliśmy Pomnik Ofiar Holokaustu, czyli setki szarych, kamiennych prostopadłościanów, przypominających trumny ułożone w labirynt. Po drodze można spotkać gdzieś figury niedźwiedzia, który jest symbolem Berlina. Ciekawi byliśmy czy uda nam się jakoś z nim oswoić. Jak na razie wszystko na szczęście wskazywało, że to nie będzie takie trudne.

Parę kroków dalej doszliśmy do Bramy Brandenburskiej i Placu Paryskiego, na którym jak zwykle w takich miejscach, tłoczyła się masa turystów. Można tu sobie zrobić zdjęcie na tle wizytówki Berlina, do wyboru, albo z panią trzymającą amerykańską flagę, albo z panem dzierżącym sowiecki sztandar.

Dalej udaliśmy się pod Reichstag, przed którym na trawie wylegiwało się kilkaset osób. Punkt dla niedźwiedzia za swoisty luz w miejscu gdzie patos i nadęcie powinny być czymś zwyczajnym. Niestety długa kolejka do środka zabrałaby nam ze dwie godziny cennego czasu i dlatego obejrzeliśmy gmach Parlamentu Rzeszy (czyli Republiki), tylko z zewnątrz. Ciekawie wyglądają też pobliskie, nowoczesne budynki w dzielnicy rządowej nad Sprewą obok Reichstagu. Można stąd udać się na rejs w dół rzeki, aż do Muru Berlińskiego.

My jednak postanowiliśmy wrócić na główną ulicę stolicy czyli Unter den Linden, którą zmierzaliśmy w kierunku Alexander Platz, do wieży telewizyjnej. Przy tej ulicy mieści się między innymi Uniwersytet Humboldta, budynek Opery i Pomnik-Muzeum Ofiar Wojny z otworem w suficie jak w rzymskim Panteonie. Naszą uwagę przykuł też olbrzymi baner o szerokości ze trzech kamienic informujący o Roku Chopinowskim i programie imprez w Berlinie z tej okazji. Kolejny punkt dla niedźwiadka.

Co jakiś czas w środkowej części arterii na deptaku ustawione są budki z przekąskami. Co ciekawe każda z nich oferuje inne specjalności małej gastronomii, jak donner-kebaby czy wursty czyli kiełbaski, całkiem niezłe w smaku i niedrogie, jakieś 3-4 euro za porcję. Za wybór menu i niskie ceny w stosunku do tych z Londynu, Oslo czy Barcelony następny punkcik dla berlińskiego niedźwiedzia.

We wschodniej części miasta warto zajrzeć na Wyspę Muzeów, gdzie mieści się m.in. Stara Galeria Narodowa. Pięknie prezentuje się też Katedra Berlińska, przed którą można wypocząć na trawie. Swoją drogą, ciekawe kiedy u nas będzie można wylegiwać się na trawnikach pod Parlamentem lub zabytkową katedrą?

Po krótkim odpoczynku kontynuowaliśmy zwiedzanie Berlina. Przed nami ukazał się imponujący Czerwony Ratusz z piękną Fontanną Neptuna od frontu, a za nim także popielaty Stary Ratusz i dwuwieżowy Kościół św. Mikołaja, wokół którego rozciąga się kilka przyjemnych uliczek z dobrymi restauracjami i oczywiście sklepami z wszelkimi pamiątkami, z misiami na czele.

Tak doszliśmy do Fernsehturm, czyli wieży telewizyjnej o wysokości 368 metrów. Dokonaliśmy zakupu biletów w automacie za 10,5 euro od osoby dorosłej i 6,50 od dziecka, po czym musieliśmy czekać na swoją kolej na wjazd na górę śledząc wyświetlane na tablicy numery biletów, które aktualnie kwalifikują się do wejścia do windy. To oczekiwanie trwało około godziny. W tym czasie obeszliliśmy okolicę wokół Aleksander Platz i znajdującego się tutaj dworca kolejowego.

Obrotowa platforma widokowa z kawiarnią znajduje się na wysokości 203 m, a jej pełny obrót wokół własnej osi trwa pół godziny. Ruszyliśmy do

niej windą, która według ulotek jedzie z szybkością 6m/s, ale te 200 metrów pokonała znacznie szybciej, w dosłownie kilka sekund. Jeśli ktoś nie lubi ciasnych pomieszczeń, tłoku i takich prędkości to może dostać się na szczyt pokonując 986 stopni krętych schodów. Widok na całe miasto z platformy widokowej okalającej iglicę wieży jest wspaniały. Stąd ujrzelśmy popularne berlińskie zabytki, jak też miejsca i obiekty, których zwiedzenie w ciągu tego jednego dnia nie byłoby możliwe.

Z wieży zlokalizowaliśmy też pozostałości Muru Berlińskiego, do którego, ze względu na odległość, postanowiliśmy dostać się metrem. Jednodniowy bilet kosztuje 6 euro i za tę cenę chcieliśmy zwiedzać Berlin przez resztę dnia. Linie oznaczone literą S, to trasy nadziemne, a litera U przypisana jest do tras podziemnych. Przystanek na Warschauer Strasse to nasze pierwsze spotkanie ze wschodnio-niemiecką częścią miasta. Po kilkuset metrach przechadzki ujrzelśmy najpierw przepiękny czerwony most nad Sprewą i dalej początek jednokilometrowej pozostałości Muru z East Side Gallery na wschodnim brzegu rzeki.

Stąd planowaliśmy się dostać metrem do Kościoła Pamięci (Kaiser Wilhelm Gedachtnis Kirche), ale jak się niestety okazało w czasie jazdy zieloną linią U1 metro dojeżdża jedynie do stacji Mockernbrücke i wraca w kierunku Warschauer Strasse, bo odcinek do Gleisdreieck jest w remoncie. Aby się dostać do naszej stacji docelowej konieczna byłaby jazda na około i ze 4 przesiadki. Zdecydowaliśmy sobie tym razem odpuścić tę, niewątpliwie ciekawą katedrę-pomnik i wrócić pod Bramę Brandenburską, by ją podziwiać ponownie, tym razem po zmierzchu, który nie wiadomo kiedy nastąpił.

Kilka pamiątkowych, widokówkowych zdjęć i czas wracać na nasz kemping. Zdawaliśmy sobie sprawę, że nie udało nam się zobaczyć tylu ciekawych miejsc i obiektów, jak chociażby Kolumny Zwycięstwa, Katedry Pamięci, Pałacu Charlottenburg czy Zamku Bellevue – siedziby prezydentów Niemiec. Może jednak kiedyś nadarzy się jeszcze okazja ku temu.

Zgodnie z planem kolejny dzień to relaks w Tropical Islands, ukrytej pod srebrną kopułą kilkusetmetrowej długości. Wewnątrz jedną z głównych atrakcji, oprócz piaszczystej plaży, laguny, tropikalnego lasu oraz kompleksu basenów i zjeżdżalni, są loty balonem, z czego chętnie skorzystaliśmy. Sympatyczny człowiek z obsługi najpierw zważył całą naszą czwórkę i gdy ujrzał na skali 255 kilo, wyjął cały balast. Jak na pierwszy raz to lot w takim koszu podwieszonym do wypełnionej helem kuli unoszącej się na wysokości 20-30 metrów jest nie lada przyjemnością. Teraz pewnie łatwiej będzie nam się zdecydować na lot balonem na otwartym powietrzu, o czym zawsze marzyliśmy. Może podczas kolejnego krótkiego wypadu czy dłuższej podróży?

